



DOPÓKI STARCZY NAM DNIA

Joanna Karyś

Dopóki starczy nam dnia. Tom 1

Copyright © Joanna Karyś

Copyright © Wydawnictwo Excalibur

Wydanie I, Wrocław 2025

ISBN: 978-83-975265-8-7

Druk i oprawa: Abedik

Redakcja: Katarzyna Myszkorowska

Korekta: Patrycja Szura

Skład i łamanie: Piotr Mańturzyk

Ilustracja na okładce: Isabella Karpińska

Opracowanie graficzne okładki: Anna Piotrowicz

Wektory: Anna Piotrowicz

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w Internecie.

All right reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

[instagram.com/joannakarys.autorka/](https://www.instagram.com/joannakarys.autorka/)

[instagram.com/wydawnictwoexcalibur](https://www.instagram.com/wydawnictwoexcalibur)

www.wydawnictwoexcalibur.pl

[fb.com/wydawnictwoexcalibur](https://www.facebook.com/wydawnictwoexcalibur)

Spis treści

Rozdział 1	4
Rozdział 2	24

Rozdział 1

Ludzkość nie tak wyobrażała sobie przyszłość.

Przynajmniej tak wydawało się Melody Thorin, kiedy kolejny raz przeglądała cyfrowe wydanie gazety z ubiegłego stulecia. Lubiła to robić. Dawniej społeczeństwa rozwijały się z każdym rokiem, ale później ludzie skupili się na tym, żeby po prostu przetrwać. Technologia, która mogłaby powstać i usprawnić życie na ziemi, została zduszona w zarodku, kiedy sto dwadzieścia osiem lat temu wręcz zawalił się świat.

Melody wykonała delikatny ruch dłonią, w której trzymała rysik, a na trzydziestopięciocalowym ekranie pojawiła się następna strona gazety. Wołała przeglądać prasę wydaną przed dwa tysiące dwudziestym piątym rokiem, ponieważ później tak naprawdę pojawiały się tylko dwie rzeczy: wirus i kolejni zaginieni.

Chciała jednak powtórzyć materiał, ponieważ za dwa tygodnie czekał ją ostateczny egzamin i mogła spodziewać się na nim wszystkiego.

Wirus L.D.M.C. dopadł każdego. Nikt nie zdołał się przed nim obronić – dotknął zarówno dzieci, jak i dorosłych, płeć również nie miała znaczenia. Zbierał żniwo na dwa sposoby, z czego śmierć była tą lepszą opcją. Początkowo nazywali ten wirus VITR, ale ostatecznie na jego nazwę złożyły się cztery opcje, jakie mogły cię spotkać, gdy już znalazł się w twoim organizmie: *Life*, *Death*, *Miracle*, *Curse*.

Gdy minęła pierwsza faza, w czasie której krew wypływała z oczu, nosa, ust i uszu, a gorączka ustępowała, to właśnie było *Life*. Druga opcja nie była przyjemna. Zanim zarażony zmarł, krew tryskała z jego ciała jak z fontanny, aż w końcu nie pozostało w nim ani jednej kropli tego życiodajnego płynu. To właśnie było *Death*.

Jednak najciekawsze skutki tej choroby objawiały się przez *Miracle*. Nie bez powodu nazywano to cudem, ponieważ osoba zarażona praktycznie nie przechorowywała tej choroby, za to jej organizm się wzmacniał, ulepszał. Można było zauważyć wzrost masy mięśniowej, zwiększoną siłę. Lepszy słuch, doskonały wzrok, poprawioną sprawność... Ludzie, których to dotknęło, mogli czuć się tak, jakby zostali obdarzeni pewnym darem. Nazywano ich vadeusami.

Tak kolorowo nie było jednak w przypadku *Curse*. Te osoby śmiało mogłyby twierdzić, że są przeklęte, gdyby... gdyby w ogóle mogły mówić. W zasadzie do dziś nie wiadomo, czy zachowały swoje człowieczeństwo. Istnieje prawdopodobieństwo, że nie. Dlaczego? Valycani, bo tak właśnie zostali okrzyknięci ci zarażeni, to bestie niczym z koszmarów. Osoby przeklęte zmieniały się nie do poznania. Ich twarze przekształcały się w pyski, zęby im wypadły, a na ich miejscu pojawiały się kły. Całe ciało pokrywało się czarną szczecina, kończyny wydłużały, a dłonie zamieniały w szpony. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że patrzy się na wilka, ale tak naprawdę valycani byli więksi, szybsi i przede wszystkim zręczniejsi.

Dziewczyna odłożyła rysik na nienagannie czysty stół i przejechała dłońmi po twarzy. Jeszcze nie widziała valycana. Cincinnati – miasto, w którym żyła – wybudowało solidny mur, a ten nie pozwalał tym bestiom na wtargnięcie do środka. Nigdy też nie przebywała poza jego obrębem. Nie była ani łowcą, ani handlarzem, ani strażnikiem – a tylko oni mogli opuszczać granice miasta. Często w pobliskich lasach szkolono rekrutów do tych zawodów, gdyż uważano, że dopiero w miejscu realnego zagrożenia można tak naprawdę przetestować kandydata na wybrane stanowisko. Wyszkoleni strażnicy strzegli łowców podczas polowań i handlarzy podczas ich wypraw, więc to przede wszystkim oni musieli wykazywać się niezłomnością, ponieważ ich najważniejszą zasadą było to, aby chronić innych. W tych nieprzyjaznych

warunkach uczono ich, jak obchodzić się ze strachem. Gdyby któryś z nich spanikował, istniałaby szansa, że nawet jeśli w porę ucieknie, to będzie mieć krew na rękach, bo to on odpowiada za życie pozostałych.

O valycanach trzeba wiedzieć dwie rzeczy: ich podstawowym pożywieniem jest człowiek. To dlatego w lasach wciąż można upolować zwierzęta. Valycani potrafią dość długo przeżyć bez strawy, ale im dłużej nie jedzą, tym bardziej są zdesperowani. Melody słyszała o przypadkach, w których valycani wdrapywali się na dwudziestometrowe mury obronne i przedostawali do miasta, czasami robili też podkopy lub naruszali jakąś część ogrodzenia. Prezydent Christopher Wingallock zapewniał jednak, że strażnicy są przygotowani na taką ewentualność i dbają o bezpieczeństwo obywateli. Co w pewien sposób mogły potwierdzić odgłosy wystrzałów, które niekiedy dolatywały do Melody, czy ślady krwi na ulicach.

Drugą ważną rzeczą na temat tych stworów było to, że wychodziły ze swoich nor tylko po zmroku. Valycani wykazywali się dużą wrażliwością na światło UV. Powodowało ono poparzenia i osłabiało ich zdolności. Do tych wniosków doszli już pierwsi lekarze, którzy zajęli się sekcją valycanów niedługo po początku końca świata, jaki znali ludzie. A później tylko potwierdzano tę teorię. Choć minęły lata, nic nie wskazywało na to, aby miało się to zmienić. Ich populacja utrzymywała się na stałym poziomie – stare osobniki padały ze względu na swój wiek, ale valycani mogli się rozmnażać, przez co ich stada wciąż były liczne.

Właśnie dlatego wychodzenie po zmroku było zakazane. Jak w dzień zagrożenie praktycznie nie istniało, tak w nocy – mimo muru – pojawiało się ryzyko spotkania jednej z tych bestii. Jedynie strażnicy, mający za zadanie patrolowanie miasta, mogli się poruszać w nocy po przestrzeniach, ale nawet oni nie byli na tyle głupi, aby robić to na ziemi. Jeżeli tylko mieli taką

możliwość, przemieszczali się po dachach i specjalnych drabinach, które prowadziły na wyższe kondygnacje.

Melody wyciągnęła ręce ku górze i przeciągnęła się, bo od siedzenia zaczęły boleć ją plecy. Spojrzała na zegarek stojący po lewej stronie biurka i uśmiechnęła się pod nosem. Za cztery minuty kończyła swój dzień stażu i będzie mogła oddać się innemu zajęciu.

Dzisiaj urodziny miał jej chłopak Killian.

Wszelkiego rodzaju imprezy potrafiły zaczynać się nawet o czternastej. Biorąc pod uwagę fakt, że dozwolone godziny poruszania się po mieście uzależniano od pory roku, to i tak nie było wcześniej. Teraz, gdy nastała jesień, od godziny dwudziestej obowiązywał zakaz wychodzenia. Jeśli jakieś zgromadzenia zaczynały się późno, goście musieli zostać w danym miejscu do momentu, aż wszędzie słońce i znów będzie można się przemieszczać.

Melody nie planowała wracać dzisiaj do domu. Imprezy Killiana zazwyczaj trwały aż do rana. Poza tym w jego mieszkaniu czuła się swobodnie, ponieważ mieściło się na ostatnim piętrze wieżowca, przez co miało dostęp do dachu, z którego rozpościerał się piękny widok. Nie czuła się wtedy jak w klatce. Sama mieszkała wraz z rodzicami w pięknym, aczkolwiek dość małym domku. Ponieważ znajdował się tuż przy samym gruncie, wszelkie okna i drzwi były zasuwane ciężkimi, stalowymi blachami, aby w razie ataku valycanów te nie mogły dostać się do środka. To właśnie brak dostępu do świeżego powietrza w nocy był dla niej problemem – marzyła o tym, aby wyprowadzić się z tej klatki. Wedle prawa mogła to zrobić dopiero po ukończeniu stażu. To między innymi dlatego tak bardzo jej zależało, aby zdać egzamin, który niebawem ją czekał, choć jeszcze bardziej chciała zyskać dostęp do szerszej wiedzy. Jako stażystka otrzymywała ochłapy, miała tego świadomość.

Killian, choć sam ukończył staż dopiero rok temu, miał już swoje mieszkanie od dawna. Był synem doradcy prezydenta, więc jego ojciec nieco nagiął zasady. Każdy o tym wiedział, nikt z tym nic nie robił. Killian był wręcz nietykalny, co w pewnym sensie zaczęło przeszkadzać Melody. Od jakiegoś czasu odnosiła wrażenie, że jej chłopak aż nadto się z tym obnosi. Wiedziała, że planował iść w ślady swojego ojca i większość czasu spędzał wśród polityków, ale od zeszłego roku obserwowała, jak zmieniał się w kogoś innego.

– A ty co taka zamyślona?

Melody zamknęła oczy i delikatnie pokręciła głową. Gdy podniosła powieki, tuż przy jej biurku stała Kassidy. Przyjaciółka znacząco spojrzała na zegarek.

– Mogłaś się stąd ewakuować jakieś pięć minut temu.

Melody poprawiła się na fotelu.

– Zastanawiałam się nad Killianem.

Młoda kobieta posłała jej zaciekawione spojrzenie.

– A co się z nim dzieje?

– Właśnie nie jestem tego pewna. – Melody poprawiła swoje długie, czarne jak węgiel włosy. – I to mnie nieco... niepokoi.

Martwi. Powinnam powiedzieć, że mnie to martwi.

Jednak to słowo nie chciało przejść jej przez gardło. Tak samo jak to, że uśmiechnęła się nie na wizję spotkania z chłopakiem, tylko na myśl o imprezie, ponieważ potrzebowała się trochę wyluzować.

Kassidy oparła się o biurko za swoimi plecami i skrzyżowała dłonie na piersi. Miała na sobie piękną, białą marynarkę, którą Melody planowała od niej pożyczyć w niedalekiej przyszłości.

– Wiesz, niecały rok temu zrealizował staż i teraz w końcu może kręcić się wśród tych wszystkich ważnych ludzi. – Przewróciła oczami, a potem się

uśmiechnęła. – Jak już przestanie się tym ekscytować, to wszystko wróci do normalności.

Melody skrzywiła nieznacznie usta.

A może ja nie chcę, aby wszystko wracało do normalności?

– Może i masz rację. – Westchnęła przeciągle, po czym podniosła się ze swojego miejsca. – Coś nowego w lecznicy?

Kassidy zrobiła minę, która miała sugerować, jakby się nad czymś zastanawiała, choć obie wiedziały, że tylko się zgrywa.

– Och, no wiesz, ten skaleczył się rozbitą szklanką, tamten dostał patelnią po głowie, a tamta przecięła się kartką... – Zerknęła na przyjaciółkę, po czym pokręciła głową. – Żartuję! Nie było niczego poważnego.

Dziewczyny częściowo pracowały razem od czterech lat. Zaczęły staż prawie w tym samym czasie, tylko że jedna z nich chciała zostać lekarzem, a druga biotechnologiem. Obecnie Kassidy więcej czasu spędzała w małej przychodni, która mieściła się piętro niżej, a Melody przesadywała w laboratorium razem z próbkami. Widywały się głównie tutaj, w biurze, gdy chciały sprawdzić coś w archiwum lub potrzebowały chwili odpoczynku.

Melody przeciągnęła się jeszcze raz, po czym zgrabnie wstała z obrotowego krzesła. Było już nieco wysłużone, ale w mieście nikt nie trudził się produkcją takich mebli, a transporty z zaopatrzeniem nie zdarzały się zbyt często, więc nie należało liczyć na nic nowego. Ten sprzęt funkcjonował tylko dlatego, że przez długi czas leżał w magazynie.

– Nie zapomnij o prezencie! – krzyknęła na odchodne Kassidy, uśmiechając się pod nosem.

Melody pokręciła lekko głową, ale na jej ustach również zagościł uśmiech.

Było kilka minut po piętnastej, więc miała niecałą godzinę na to, aby wyszykować się na imprezę urodzinową, choć tak naprawdę nie zamierzała się śpieszyć. Domyślała się, że Killian zaczął zabawę już jakiś czas temu.

Wyszła ze swojego miejsca pracy i odruchowo obróciła się, aby spojrzeć za siebie. Budynek składał się z czterech kondygnacji i był jedną z najnowocześniejszych budowli, jakie znajdowały się w mieście, czy raczej – jakie przetrwały wybuch epidemii oraz późniejszą panikę. Nie bez powodu dbano o to miejsce. To właśnie tutaj znajdowało się laboratorium, w którym zarówno odtwarzano dawne, jak i opracowywano nowe szczepionki oraz leki. Przychodnia była tylko dodatkiem.

Dotarcie do domu zajęło Melody nieco ponad kwadrans. Gdyby nie miała szpilek, pewnie udałoby jej się dotrzeć na miejsce w dziesięć minut, ale w pracy starała się wyglądać elegancko. Podświadomie czuła, że ze względu na młody wiek – miała dopiero dwadzieścia cztery lata – i podstawowe doświadczenie, nie była traktowana poważnie przez niektórych naukowców, dlatego próbowała to nadrobić w miarę wyszukany strojem oraz mocnym makijażem.

– Cześć, mamó. Gdzie tata? – zapytała, gdy przekroczyła próg mieszkania.

Ładna kobieta o przystrzyżonych do ramion czarnych włosach delikatnie przytuliła Melody, ale bardzo szybko się odsunęła. Jak zawsze.

– Nie spotkałaś się z nim w laboratorium? Mówił, że będzie siedział do wieczora.

– Przeglądałam archiwum – przyznała. Całkiem zapomniała, że ojciec miał dzisiaj dłużej pracować. – Próbowałam powtórzyć materiał z historii i początków epidemii.

– Nie martw się egzaminem. – Kobieta próbowała posłać córce uspokajający uśmiech, ale wyszło jej to sztucznie. Melody już dawno przestała liczyć na to, że otrzyma od niej jakiś cieplejszy gest.

Audrey Thorin była emerytowaną panią kapitan Straży Centralnej, co jednak nie oznaczało, że nie pełniła już żadnej funkcji. Bardzo często przesiadywała w bazie i nadzorowała nabór nowych rekrutów, a także przebieg ich treningów. Mimo to z racji swojego wieku – miała czterdzieści sześć lat – i zgodnie z prawem obowiązującym w ich mieście musiała ustąpić miejsca swojemu następcy, którego sama wybrała. Ten powinien spełniać dwa warunki: mieć skończone dwadzieścia siedem lat oraz sfinalizowany staż w straży.

Niektórzy rekruci mieli bowiem za sobą inne praktyki, ale z jakiegoś powodu po ukończeniu swoich nauk decydowali się dołączyć do straży. Ich wynagrodzenie było niższe niż pełnoprawnego członka, ale ci, którzy się na to zdecydowali, traktowali to jako swoją drugą, dodatkową pracę lub powołanie.

– Zdasz śpiewajaco – dodała po chwili Audrey.

Dziewczyna odpowiedziała jej uśmiechem i powoli udała się w stronę swojego pokoju.

– Pewnie, że zdam – odparła, mrugając do mamy, by zachować pozory, że łączy je jakaś nie porozumienia, po czym zniknęła w swoim pokoju.

Po wejściu do środka odruchowo zerknęła w stronę małego okna umieszczonego niedaleko szafy. Wpadało tyle światła, że w pokoju było jasno, ale nie widziała z niego zbyt wiele, choć była w miarę wysoka. Dlatego tak uwielbiała dom Killiana. Każdej nocy spędzonej w tym pokoju tęskniła za gwiaździstym niebem, które mogła obserwować u swojego chłopaka. Po części zazdrościła też swojej mamie, która podczas nocnych patroli nie musiała tkwić w tej blaszanej puszczy. Nigdy jednak nie powiedziała tego na głos, ponieważ nie chciała marudzić. Rozumiała, że tak naprawdę powinna być wdzięczna – niewiele osób mogło pozwolić sobie na taki dom.

Zrzuciła z siebie ubranie, wzięła czystą bieliznę i udała się do łazienki. Kolejną zaletą tego mieszkania był dostęp do bieżącej wody dzięki

odpowiednio zaprojektowanemu systemowi filtracji. Ponoć w niektórych częściach miasta wydzielano ją mieszkańcom, ale Melody nigdy tego nie zaznała. Za to chętnie korzystała z przywileju. Odkręciła kurek, aby wolnostojąca wanna wypełniła się gorącą wodą, podczas gdy ona zabrała się za zmywanie makijażu. W pierwszej kolejności pozbyła się czerwonych ust, ale nawet specjalny płyn nie zdołał do końca zmyć barwnika.

Mimowolnie myśli Melody zaczęły krążyć wokół tego, jak zmienił się świat w porównaniu do tego, o którym czytała. Kosmetyki, które mieli obecnie, to zaledwie kropla w morzu tego, co istniało kiedyś. Powodował to fakt, że transporty między miastami zostały ograniczone. Utrudnienia nie wynikały tylko z możliwości poruszania się jedynie za dnia – jeśli miasta nie były od siebie zbyt oddalone, nie stanowiło to problemu, o ile droga została uszkodzona lub nie pojawiła się na niej przeszkoda. Jednak niekiedy byle burza potrafiła powalić drzewo na sam środek ścieżki. Przez to kierowcy musieli decydować, czy zdążą dojechać do bazy drogą biegnącą naokoło – a taka trasa mogła trwać nawet i kilka godzin – czy wracają do miasta, z którego wyruszyli.

Mieszkańcy Cincinnati mogli cieszyć się dostępem do towarów za sprawą kolei – pociągi napędzane węglem wciąż funkcjonowały. Zostały odpowiednio opancerzone, a w każdym takim pociągu przebywało co najmniej kilku strażników mogących korzystać z wbudowanych tam karabinów, ale w większości przypadków bezmyślni walcy unikali szybko poruszających się maszyn kolejowych. Trzeba było brać również pod uwagę to, że niektóre drogi zostały zdetonowane na samym początku wybuchu epidemii – rząd bombardował największe skupiska walcanów. Z tego powodu zniszczone zostały niektóre sieci kolei, a większości nie udało się odbudować. Dlatego pociągi mogły poruszać się tylko przez określone tereny.

Bardziej problematyczne było jednak to, że z biegiem lat mocno ograniczyły się zasoby paliwa o odpowiednim stopniu rafinacji, co utrudniało zarówno transport lotniczy, jak i nieziemny. Naukowcy prześcigali się w produkcji najlepszych baterii słonecznych, ale nawet one ulegały degradacji i z czasem przestawały być tak wydajne jak na początku, co oznaczało, że samochody poruszały się wolniej – a to również miało znaczenie przy dłuższych dystansach czy konieczności zmiany trasy. Choć samochody dostawcze były opancerzone, a niekiedy kierowcy mogli zatrzymywać się w specjalnych schronach rozmieszczonych pomiędzy ogrodzonymi terenami, to i tak zdarzało się, że słuch po nich ginął.

Mimo to do obecnych czasów zachowało się kilka mniejszych samolotów i helikopterów, ale w zasadzie korzystały z nich tylko najważniejsze osoby w miastach, i to bardzo sporadycznie. Transport w ten sposób poza kontynent nie wchodził w grę, nie mówiąc już o tym, że komunikacja z pozostałą częścią świata była w dużej mierze ograniczona. Melody czytała, że na samym początku epidemii rozdzielone rodziny i bliscy sobie ludzie komunikowali się ze sobą, aby się odnaleźć, a potem – mimo zakazów władz – zdecydowali na podróż do drugiego miasta, co najczęściej kończyło się zapisaniem ich nazwisk na listach zaginionych i nigdy nieodnalezionych. Jednak obecnie większość dawno dostępnych odbiorników była zepsuta.

Melody odłożyła zwilżoną i obecnie ubrudzoną ściereczkę na brzeg zlewu, zdjęła bieliznę i nieśpiesznie weszła do wanny. Gdy oparła o nią głowę, pozwoliła sobie na westchnięcie.

Miała złe przeczucie co do tej imprezy. Wcześniej się na nią cieszyła, ale teraz...

Wzięła głębszy wdech i wsunęła się pod wodę. Wytrzymała tak do momentu, aż jej płuca zaczęły domagać się zaczerpnięcia powietrza. Wynurzając się,

postanowiła, że wszelkie troski zostawi w tej wodzie. Nie potrzebowała powodów do zamartwiania się, więc kiedy tylko mogła, starała się odpychać natrętne myśli.

Wyszukowanie zajęło jej więcej czasu, niż zakładała, ale tylko dlatego, że się ociągała. Podkreśliła swoje jasne, niebieskie oczy cieniem o podobnej barwie i czarnym pisakiem, który osobiście uwielbiała, ale korzystała z niego oszczędnie, ponieważ był jednym z trudno dostępnych zasobów. Zdecydowała się na jedno z bardziej obcisłych spodni, czerwoną koszulkę, kurtkę oraz swoje ulubione szpilki. Na pożegnanie pomachała do Audrey i obiecała, że wróci rano, gdy tylko będzie to bezpieczne.

– Baw się dobrze i koniecznie złóż Killianowi życzenia ode mnie – odpowiedziała córce. Biorąc pod uwagę, że przyjaźniła się z ojcem chłopaka, nie było nic dziwnego w tym, że zachęcała Melody do wejścia w związek, ale przez to dziewczyna czuła się w pewien sposób do niego przymuszona.

Na miejsce dotarła przed siedemnastą. Kiedy zadarła głowę, jej oczom ukazało się ostatnie piętro. Poprawiła torebkę na ramieniu, po czym opuściła wzrok i udała się w stronę wejścia. Na szczęście w tym budynku działała winda, więc nie musiała wspinać się aż na dziesiąte piętro.

Gdy drzwi windy się otworzyły, Melody nie zdołała od razu się z niej wydostać, bo pewna para wparowała do środka, w ogóle nie zwracając na nią uwagi. Dziewczyna zacisnęła usta, odsunęła się na bok i poczekała, aż chłopak przygwoździ swoją wybrankę do ściany. Pogrążeni w miłosnym uniesieniu nawet na nią nie spojrzeli. Wychodząc, Melody nie była pewna, czy tamta dwójka w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, że właśnie znaleźli się w windzie, a nie w którymś z pobliskich pokoi.

Skierowała się w lewo i udała w stronę drzwi z numerem 111. Gdyby nie знаła trasy, jej przewodnikiem byłaby muzyka, która rozbrzmiewała na całym

korytarzu i tylko przybierała na sile, gdy dziewczyna zbliżała się do mieszkania Killiana.

Nie kłopotą się pukaniem – i tak wiedziała, że nikt tego nie usłyszy. Pociągnęła za klamkę i szeroko otworzyła drzwi. Poza ogłuszającą muzyką jednocześnie dotarła do niej woń alkoholu i czegoś, czego wręcz nie cierpiała – zioła. Skrzywiła się, po czym postanowiła nie brać większych wdechów.

– Ooo, już jesteś!

Świat Melody przysłoniły jasne włosy Esty, gdy dziewczyna rzuciła się jej w ramiona.

– Nie mogłam się doczekać, aż przyjdiesz – wyznała przyjaciółka, po czym stanęła obok. – Już nie wiedziałam, do kogo mam zagadywać.

– Ej, bo będę zazdrosna – wtrąciła Tabitha, rudowłosa dziewczyna Esty, która miała na palcach więcej pierścionków niż przeciętny sprzedawca na swoim stoisku. Właśnie skrzyżowała ręce, eksponując dłonie, ale choć zgrywała niezadowoloną, w jej oczach kryło się rozbawienie. – Moje towarzystwo ci już nie wystarczy?

Esta parsknęła śmiechem, po czym dała Tabicie szybkiego buziaka.

– No, to rozumiem – odparła dziewczyna i wróciła wzrokiem do Melody. Drobne loki zakołysały się przy jej twarzy. – Ale to fakt, dobrze, że już jesteś.

Melody zmarszczyła brwi, rozglądając się wokół. W salonie łącznie z nimi przebywało jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć osób. Nie miała pojęcia, gdzie ci wszyscy ludzie będą spali – Killian nie miał aż tylu łóżek, a o materace na pewno się nie postarał.

– Coś się stało?

– Poza tym, że twój chłopak z roku na rok zyskuje jakieś magiczne moce i śpiewa coraz głośniej, to chyba nie – odparła Esta.

Tym razem Melody rozejrzała się uważniej i w końcu dostrzegła wspomnianego przez przyjaciółkę osobnika. Na co dzień idealnie zaczesane blond włosy teraz miał nieco zmierzwione, a jego niebieskie oczy, podobne do jej własnych, były zaszkłone od procentów, które krążyły w jego organizmie.

No tak, nie powinnam się spodziewać, że jako gospodarz Killian przystopuje z alkoholem. Przecież zwykle wtedy wlewa w siebie jeszcze więcej.

Piwo było popularnym produktem wśród zamożniejszych mieszkańców, ponieważ mieli do niego nieograniczony dostęp. Wódka stanowiła większy problem, ale i ją udawało się dostać, jeśli tylko ktoś wiedział, do kogo zagadać. Melody podejrzewała, że to właśnie tym drugim załatwił się jej chłopak, choć jego czerwone białka oczu sugerowały inną używkę.

Dziewczyna przyjęła od Esty szklankę z jasnym piwem i wypila pierwszy łyk, który zaraz popiła drugim. Zawsze najgorzej było jej zacząć, ale po chwili przyzwyczajała się do smaku i nawet w pewien sposób się nim delectowała. W alkoholu lubiła to, że w jakiś sposób ją rozluźniał, a jej mózg... się zamykał. Gdy wypijała szklankę piwa, to w jej głowie przestawały krążyć rozmaite wzory, a ona zapominała o tym, jak wyglądają cząsteczki DNA... Za dobrze jednak znała zgubne skutki tej używki, żeby uznać to za wystarczającą zaletę, dlatego nigdy z nią nie przesadzała.

Właśnie kończyła dopijać swoje piwo, żywo rozmawiając z Estą i Tabithą, kiedy blondyn sięgnął po coś za barem i oczy wszystkich skierowały się na przedmiot trzymany w jego dłoniach.

– Czy to... whisky? – zapytała Melody, dostrzegając ciemnopomarańczową ciecz.

Killian dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę z obecności swojej dziewczyny. Na jej widok uśmiechnął się szeroko i położył wolną rękę na klatce piersiowej w okolicy serca.

– Oczywiście – odparł wesoło.

– Skąd ją masz?

– Jak to skąd? Ze schowka ojca.

Po pokoju rozeszły się rozbawione chichoty jego przyjaciół.

– Na co czekasz? Polewaj! – zawołał chłopak w niebieskiej bluzie, który trochę się chwiał. – Chcę spróbować!

– Lepiej... – zaczęła Melody, ale nie dane było jej skończyć.

– Ej, to w końcu moje ćwierćwiecze! – Killian zarechotał, odkręcając butelkę. – Chyba z tej okazji mogę się napić.

– Ta butelka ma jakieś sto trzydzieści lat! – zauważyła dziewczyna, kręcąc głową. – Ojciec cię za to zabije.

– Nie, bo powiem, że ty chciałaś się napić, a ja nie mogłem ci odmówić – odparł, po czym zbliżył się do niej, pochylił i dał jej soczystego całusa w policzek. – Cześć, mój cukiereczku.

– O nie! – zaprzeczyła, odsuwając się od niego i nie witając z nim. – Nawet nie zamierzam tego pić. A ty naucz się brać odpowiedzialność za swoje decyzje.

Dwaj najbliżsi przyjaciele Killiana, Ladon i Daniel, zagwizdali głośno, a potem wybuchli śmiechem, co najwyraźniej nie spodobało się chłopakowi. Zmarszczył nos i spojrzał na nich tak, jakby zobaczył coś zepsutego.

– Stary, wyluzuj. – Ladon klepnął Killiana w plecy, na co ten odwinął się i uderzył go w prawe ramię. Ponieważ był już trochę wstawiony, jego uderzenie nie było silne. Przyjaciel pokręcił głową ze śmiechu. – Serio, stary Wilmot pewnie nawet się nie zorientuje. Ma jeszcze sporo takich butelek, przecież widzieliśmy.

Killian przestał zwracać uwagę na innych. Odrzucił zakrętkę od butelki i pociągnął spory łyk. Mocno się skrzywił, przez co jego przystojna twarz zniekształciła się w grymasie, po czym wziął następną porcję ciemnego płynu.

Gdy w końcu uznał, że czuje się usatysfakcjonowany, przekazał butelkę Ladonowi.

Tymczasem Melody opadła na najbliższą kanapę, a Esta poszła jej śladem. Położyła rękę na oparciu mebla i pogłaskała delikatnie przyjaciółkę po ramieniu.

– To jego urodziny – mruknęła. – Musi się trochę popisać przed kumplami.

Tabitha zajęła miejsce tuż za Estą, a potem wtuliła się w nią od tyłu i oparła brodę o jej prawe ramię.

– Chodzi o coś innego, prawda?

Melody zauważyła chłopaka, który chodził i dolewał chętnym nieco alkoholu. Złapała z nim kontakt wzrokowy, po czym przywołała do siebie gestem ręki. Gdy napełniał jej szklankę, wciąż obserwowała Killiana, ale ostatecznie obróciła się do chłopaka, podziękowała mu i się uśmiechnęła. Chwilę później skupiła uwagę na dziewczynach.

– Killian może robić, co mu się podoba, bo ma ochronę ojca.

– A ty matki – skomentowała Esta. – Audrey Thorin nikt nie podskoczy!

– Martwisz się, że nie dopuszczą cię do egzaminu? – zgadła z kolei Tabitha.

Melody wypila szybko kilka łyków. Wydawało jej się, że piwo miało nieco bardziej chemiczny smak, ale wiedząc, jak wytwarza się ten trunek, doszła do wniosku, że nawet powinien tak smakować. Potrząsnęła lekko głową i westchnęła.

– Cztery lata starałam się, aby mieć nienaganną reputację. Za dwa tygodnie oficjalnie zacznę pracę jako biotechnolog i w końcu otrzymam dostęp do miejsc, do których wcześniej nie mogłam zajrzeć. – Spojrzała do swojej szklanki i uśmiechnęła się smutno, po czym odstawiała naczynie na drewniany stół stojący tuż przed kanapą. – To jest dla mnie wielka szansa.

Esta pokiwała powoli głową.

– Wiesz, wydaje mi się, że Killian tylko żartował. – Wzruszyła ramionami, a potem sięgnęła ręką do dłoni Tabithy, aby złączyć z nią palce. – Poza tym jego ojciec na pewno nie wzięłby na poważnie słów syna. Przecież pan Nicholas cię zna. W mieście nie ma rozsądniejszej osoby od ciebie.

Słowa przyjaciółki nieco uspokoiły Melody. Jeszcze nic się nie stało i wcale nie musiało się stać. Nie miała powodów do obaw, że coś pokrzyżuje jej plany związane z wyprowadzką i pracą.

– Masz rację – odparła, posyłając jej szczery uśmiech.

Wtedy też o czymś sobie przypomniała. Rozejrzała się i znalazła swoją torebkę, którą jakiś czas temu odłożyła na czarnym fotelu. Podeszła do niej i wygrzebała z niej to, z czego była tak bardzo dumna. Gdy tylko dostrzegła ten przedmiot wśród innych rzeczy, które pochodziły z zeszłego stulecia, przestała się rozglądać za czymkolwiek innym. Uważała, że to będzie idealny prezent.

Poprawiła proste włosy, aby ładnie spływały aż do pasa, po czym udała się na poszukiwania. Okazało się, że Killian wcale nie był daleko, więc od razu skierowała się do niego.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała, stając przed nim i wyciągając w jego kierunku dłoń z niewielkim przedmiotem. – To...

– Co to ma być? – zapytał, nieco bełkocząc, Killian.

– To twój prezent.

– Pytałem się, co to jest.

Melody zacisnęła nieco usta, ale zaraz na jej twarzy pojawił się słodki uśmiech.

– To klepsydra ze specjalnym piaskiem. Odmierza aż godzinę, więc pomyślałam, że przyda się na twoje biznesowe spotkania. Znalazłam ją na bazarze. To jedna z najrzadszych rzeczy, jakie...

Chłopak szybkim ruchem strącił przedmiot z dłoni Melody, a że dziewczyna czuła się nieco ociężała i obecnie nie miała najlepszego refleksu, nie udało jej się go złapać. Klepsydra spadła na podłogę i roztrzaskała się w drobny mak. Dźwięk tłuczonego szkła i rozsypanego piasku przykuł uwagę osób, które stały najbliżej. Choć może bardziej niż sam dźwięk przyciągnęło je zamieszanie, którego były świadkami.

– Nie potrzebuję śmieci z bazaru!

Melody odruchowo zacisnęła dłoń w pięść i powoli zaczęła opuszczać rękę, ale ostatecznie wzięła zamach i zdzieliła Killiana – już otwartą dłońią – prosto w policzek. Jego głowa odskoczyła w bok.

– Wszystkiego najlepszego! – warknęła. Przeszła nad potłuczoną klepsydą, sięgnęła po torebkę i kurtkę, po czym ruszyła w stronę wyjścia. Minęła Estę, ale nie chciała na nią patrzeć. Czuła, jak w oczach zbierają się jej łzy, i wołała, aby nikt z tu obecnych tego nie zobaczył. Ubrała się, zanim jeszcze podeszła do drzwi.

– A ty dokąd się wybierasz?! – krzyknął za nią Killian.

Nie odwróciła się, ale czuła na swoich plecach jego palący wzrok.

– Do domu!

– Przecież już prawie...

– Zdążę! – warknęła, obracając głowę nieco w bok. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Dziwne, ale pierwsze, co przeszło jej przez myśl, to było to, że Killianowi tak naprawdę nie zależało na jej bezpieczeństwie, zwłaszcza po swoim wcześniejszym zachowaniu, i tylko stwarzał takie pozory, bo przebywał wśród innych ludzi.

Zrezygnowała z windy. Nie chciała teraz stać w miejscu, potrzebowała ruchu. Alkohol krążył w jej ciele i nieco zaburzał percepcję, więc postanowiła to rozchodzić.

– Rety, musieli jednak czymś wzmocnić to piwo – mruknęła, starając się nie spaść ze schodów.

Kiedy z sukcesem udało jej się zejść po wszystkich stopniach, z uśmiechem na ustach wyszła na zewnątrz. Poczuła chłodne powietrze, ale się tym nie przejęła. Do domu nie miała daleko.

Jednak z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nogi pokierowały ją w lewo zamiast w prawo, przez co nie skierowała się w stronę, w którą zamierzała. A im dłużej szła, tym więcej szczegółów zaczęło do niej docierać.

Klepnęła się lekko w lewy policzek, chcąc obudzić swoje ciało. Oczy zaczynały jej ciążyć, mimo że nie czuła się zmęczona.

– Co jest...

Pierwszy doleciał do niej zapach. Poczuła coś jednocześnie metalicznego i zgniętego. Uniosła wzrok znad asfaltowej powierzchni, która w wielu miejscach była naruszona. Odkryła, że nawet rosła tam trawa, czego wcześniej sobie nie przypominała.

Gdy się tak rozglądała, dotarło do niej, że było ciemniej, niż przypuszczała. W zasadzie słońce już się schowało, a jedyne światło, jakie oświetlało jej drogę, dawały niewielkie latarnie, które władze miasta kazały zostawiać na noc, aby nie pogrążyć ulic w ciemności.

Gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc, kiedy zrozumiała, co to wszystko oznaczało.

Zapadła noc, a ona przebywała na zewnątrz.

Drugi doleciał do niej dźwięk. Był to po części warkot, a po części skowyt. Po chwili usłyszała jeszcze jeden odgłos, który tym razem skojarzył się jej z oblizywaniem warg i ciekącą śliną.

Obróciła się w lewo i go dostrzegła. Dwumetrowy cień wyłonił się zza drzewa, a ona stanęła jak sparaliżowana. Lekko zamglonym wzrokiem spoglądała, jak stwór poruszający się na dwóch chudych nogach sunie powoli w stronę środka ulicy. Jego ruchy wydawały się nienaturalne, a gdy szedł, wyraźnie się garbił. Wyglądało to tak, jakby chodzenie na dwóch kończynach nie było dla niego komfortowe. Długie „ręce” zwisały wzdłuż tułowia.

Jeszcze dzisiaj Melody rozmyślała nad tym, że nigdy nie spotkała valycana.

Aż do teraz.

Z jej gardła wydobył się mimowolny krzyk. Stwór w odpowiedzi unosił głowę i zawył, co na moment zamroczyło umysł dziewczyny. Po chwili dotarło do niej, że przecież w ten sposób valycani komunikowali się z resztą swoich towarzyszy. Bestia stojąca niedaleko niej dawała właśnie znać o wywęszonej ofierze.

Nie miała pojęcia, jak się do tego zmusiła, ale pochyliła się i zdjęła obie szpilki, po czym zerwała do biegu. Zdążyła pomyśleć, że nie przypomina sobie tej okolicy, zanim usłyszała dźwięk rozdzierającego się materiału. Chwilę później poczuła piekący ból w lewym ramieniu. Odruchowo upuściła but trzymany w lewej ręce, ale zamachnęła się prawą i przejechała cienkim obcasem po torsie valycana. Stworzenie zaryczało przeraźliwie i odepchnęło ją wierzchem swojej długiej łapy.

Melody wylądowała twardo na ziemi kawałek dalej, a ból w ramieniu ponownie dał o sobie znać. Syknęła i się skrzywiła, po czym uniosła wzrok i zastygła. Tuż przed jej twarzą znajdował się pysk valycana. Spoglądała w jego czarne ślepie, podczas gdy stwór szczyrzył kły, z których kapła gęsta ślina.

Przerażenie, jakie ogarnęło jej ciało, pozbawiło ją tchu. Zaczęła się trząść. Z każdą kolejną sekundą szczęka valycana znajdowała się coraz bliżej, a ona nie była w stanie się poruszyć. Gdy stwór rozwarł paszczę, Melody mogła jedynie zamknąć oczy i szykować się na niewyobrażalny ból.

Rozdział 2

Ktoś przyczepił na słupie za pomocą zardzewiałego gwoźdźnia kartkę z imieniem i nazwiskiem poszukiwanej osoby.

– Kolejny zaginiony – mruknął Zev, przechodząc obok ogłoszenia.

Zev Belakane skrzywił się i odwrócił wzrok. Każde kolejne nazwisko sprawiało tylko, że czuł się jeszcze bardziej bezradny. Choćby nie wiadomo jak mocno się starał, ciągle ktoś ginął, a on nic nie mógł na to poradzić. Nie podobało mu się to uczucie bezsilności, które czuł wewnątrz siebie.

Spojrzał na niebo, po czym westchnął i wszedł do budynku. Zamknął za sobą ciężkie, metalowe drzwi i zasunął specjalną, grubą zasuwkę. Miał świadomość, że gdyby jakiś valycan chciał się dostać do środka, to takie drzwi nie stanowiłyby dla niego dużego wyzwania. Co prawda zajęłoby mu to dłuższą chwilę, ale ostatecznie przedostałby się do środka.

Poprawiając ciemne włosy, wszedł po stopniach na pierwsze piętro. Tam również zamknął za sobą drzwi i dodatkowo je zabezpieczył. Następnie powtórzył czynność jeszcze cztery razy, aż znalazł się na piątym piętrze budynku.

Zev nie urodził się w bogatej dzielnicy, więc nie miał dostępu do wysoce zabezpieczonych obiektów, jednak z racji na swoje stanowisko i tak cieszył się lepszymi przywilejami niż większość mieszkańców sektora R.

– Kapitanie!

Spojrzał w prawo i posłał niezadowolone spojrzenie zbliżającemu się młodzieńcowi.

– Mówiłem ci, żebyś tak do mnie nie mówił. Jak Evan to usłyszy, to się wścieknie.

Młody mężczyzna stanął przed Zevem i uśmiechnął się szeroko.

– Stary Evan za parę miesięcy będzie wybierał swojego następcę. Wszyscy wiedzą, że to będziesz ty, więc równie dobrze mogą cię tak nazywać.

– Może ja nie chcę być kapitanem – burknął Zev.

Prawda była taka, że jakaś jego część tego chciała. Całe życie szkolił się na strażnika – niemal nie pamiętał czasów, kiedy nie trenował. Lubił to robić w dużej mierze dlatego, że był vadeusem. Już dawno odkryto, że jest to dziedziczne, a odpowiedni gen przekazał mu jego ojciec. Zresztą tak samo jak wszystkim swoim dzieciom. I choć Zev odznaczał się szybkością i siłą w porównaniu do zwykłych ludzi, to jednak krążyły pogłoski, że w obecnych czasach zdolności vadeusów uległy osłabieniu. Niektórzy wierzyli, że w ten sposób natura komunikowała, że na świecie istniało coraz mniej valycanów, których należało zwalczyć. Chłopak nie miał co do tego pewności.

Jednak zostanie kapitanem wiązało się z czymś jeszcze – dużą odpowiedzialnością. Kapitan odpowiadał za kilka sektorów. W tym momencie Zev był zżyty tylko ze swoim. Przeżywał stratę każdego członka. Nie miał pewności, czy zniósłby większą odpowiedzialność...

Cedrick Dawood, najlepszy przyjaciel Zeva, parsknął.

– Pewnie, że nie chcesz, ale nikt nie pyta cię o zdanie. Nie trzeba było być najlepszym we wszystkim.

– Tylko w ten sposób zdołam ochronić resztę – mruknął, wodząc wzrokiem po pomieszczeniu. Budynek, w którym się znajdowali, nie był najwyższej klasy. Zajęli ten opustoszały biurowiec tylko dlatego, że na tym piętrze wszystkie okna były całe i jako tako dało się tutaj przetrwać nocną wartę, gdy nie zostało się wyznaczonym do patrolowania dalszych ulic.

Dostrzegłszy ciemne włosy, zatrzymał wzrok na Zoraidzie, swojej siostrze bliźniacze. Akurat rozmawiała z dziewczyną Cedricka, Laylą Orcades. Po chwili dołączyła do nich Dara, która przyniosła im otwartą puszkę z jedzeniem.

Zev pociągnął nosem i wyczuł, że to czerwona fasolka w sosie. Najprawdopodobniej Dara podwędziła puszkę z magazynu z żywnością, który wczoraj patrolowała. Chłopak zmarszczył nos i już zamierzał do nich podejść, żeby je upomnieć, ale zobaczył, jak Zoraida ucieszyła się na widok jedzenia.

– Jedna puszka nie robi elitom różnicy – skomentował Cedrick, który szybko zorientował się w sytuacji. Spojrzał na towarzysza i posłał mu przyjacielski uśmiech. – Odsunąć im tym razem.

– Chodzi o zasady – odparł Zev, choć wcale nie zamierzał psuć chwili pozostałym. – Tak po prostu nie wypada.

– Nie wypada to nas głodzić – warknął Edgar, który zbliżył się do nich od tyłu.

Zev obrócił lekko głowę, po czym założył ręce na torsie i czekał, aż jego znajomy będzie kontynuować.

Edgar wyróżniał się z tłumu swoją posturą – był nie tylko wysoki, ale też szeroki. Mimo to nie należał do grona vadeusów, więc przegrywał z Zevem każde siłowanie się na rękę, choć ten musiał przyznać, że zwycięstwo nie przychodziło mu łatwo.

– Dobrze wiemy, że elita co wieczór urządza sobie imprezy, na których nie brakuje jedzenia. – Edgar wskazał ręką na ludzi zgromadzonych w pomieszczeniu. – Czasami nawet tutaj słyszać muzykę.

– To przynajmniej możesz sobie do niej potańczyć – rzucił Cedrick, puszczając mu oczko.

Strażnik skrzywił się, ale nie pociągnął tematu. Było widać, że coś innego zaprzętało mu głowę. Zev doskonale zdawał sobie sprawę, o co ten zaraz zapyta.

– Widzieliście dzisiaj Alice?

Zev i Cedrick szybko wymienili spojrzenia, a w oczach obu można było dojrzeć jedynie współczucie. Kiedy nie odpowiedzieli, Edgar wbił wzrok w ziemię.

– Hej! – Zev położył dłoń na barku znajomego. – Znajdziemy twoją żonę, zobaczysz.

Chłopak o krótko ostrzyżonych włosach skinął szybko głową, pociągnął parę razy nosem i odwrócił się na pięcie, niejako strącając rękę Zeva, więc ten opuścił ją wzdłuż ciała. Spoglądał przez chwilę na plecy oddalającego się kompana, a potem zacisnął mocniej szczękę i skierował się w stronę karabinu opartego o ścianę.

– Idę na patrol – mruknął.

– Ale dzisiaj nie jest twoja kolej – zauważył Cedrick.

– Już jest – warknął pod nosem, po czym założył pasek od karabinu przez ramię i przesunął broń na plecy. – Pilnuj Zoraidy.

– Ona ma dwadzieścia siedem lat! – krzyknął za nim Cedrick. – Sama potrafi o siebie zadbać!

Zev nic mu nie odpowiedział, bo właśnie zamknęły się za nim metalowe drzwi prowadzące na korytarz. Było pusto, tak jak się spodziewał. Obrócił się przez lewe ramię i ruszył w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Przyjrzał się najbliższym budynkom, które zostały wyposażone w specjalne drabiny, pomosty i kładki, a potem obrócił się, aby zerknąć na to, skąd wyszedł.

Trzeba lepiej zabezpieczyć te drzwi. Skoro ja tak łatwo się przez nie wydostałem, to valycan może się wdrzeć do środka.

Wyprostował się i wziął głęboki wdech, wciągając w płuca chłodne wieczorne powietrze. Dopiero co zaszło słońce, więc przed nim jeszcze cała noc. Miał nadzieję, że tym razem obejdzie się bez interwencji.

Niestety, gdy tylko o tym pomyślał, jego wyostrzony słuch wychwycił dźwięk, którego uszy chłopaka nie chciały dzisiaj słyszeć. Był to donośny krzyk kobiety, a później doszło do niego wycie walycana.

Nie myślał. Instynkt przejął kontrolę nad jego ciałem. Nim się obejrzał, pobiegł przez dach, zeskoczył na pomost, a potem wylądował na ziemi. Poczuł dreszcze na plecach, gdy uświadomił sobie, że tutaj walycani mogli go łatwiej wywęszyć, ale natychmiast to zignorował. Nie było czasu do stracenia. Wiedział, że przy kontakcie z walycanem liczyły się sekundy.

Wybiegł zza rogu i dostrzegł mutantą, który stał w bezruchu. Nie, nie stał, on się nad czymś lub nad kimś pochylał. Zev bez zastanowienia ściągnął karabin z pleców, wymierzył, odbezpieczył i strzelił. Mimo krwi szumiącej mu w uszach usłyszał charakterystyczny plask, który oznaczał, że kula wbiła się w ciało. Valycan krótko sapnął, po czym osunął się na ziemię.

Wtedy Zev dostrzegł czarnowłosą dziewczynę, która siedziała na drodze. Jej wielkie, rozszerzone z przerażenia oczy sprawiły, że oprzytomniał. Jeszcze nie byli bezpieczni.

Szybkim ruchem założył na plecy karabin i podbiegł do nieznajomej. Dziewczyna wciąż siedziała w tej samej pozycji, jednak teraz spoglądała na trafionego walycana. Zev wiedział, że ten był martwy, nawet nie musiał na niego patrzeć. Praktycznie zawsze trafiał w serce, jeśli tylko znajdował się w odpowiedniej odległości, aby móc wymierzyć.

Nagle chłopak wyczuł krew i zaklął pod nosem. Zapach był zbyt intensywny, żeby mógł pochodzić od poległego, który dostał tylko jeden strzał.

– Chodź! – powiedział głośno, licząc na to, że jego głos przebije się do podświadomości dziewczyny. Kiedy nie zareagowała, kucnął przy niej, chwycił ją za brodę i nakierował jej twarz na swoją. – Zaraz zleci się reszta stada. Musimy się ukryć, rozumiesz?

Nieznajoma zamrugała, a po chwili skinęła głową.

– Dasz radę iść?

W odpowiedzi odsunęła się od niego i wstała.

– Tak.

Zev rozejrzał się dookoła, aby rozeznać się w terenie. Po chwili już wiedział, gdzie się znajdowali.

– Mamy szczęście. Nieopodal jest schron. – Skinął głową w prawo. – Tędy!

Dziewczyna biegła na bosaka tuż obok niego, a choć była dość szybka, to jednak Zev musiał zwolnić, aby dotrzymała mu kroku. Nawet po tym już wiedział, że nie ma do czynienia z vadeusem.

Co ona tutaj robiła?

Nie zdążył jej o to zapytać, bo w oddali usłyszał wycie. Złapał nieznajomą za rękę.

– Musimy przyspieszyć! – rzucił, spoglądając na nią, na co dziewczyna zacisnęła usta i skinęła głową.

Skręcili w lewo i biegli tak przez chwilę, ale wtedy Zev kątem oka dostrzegł cień, który poruszył się między zniszczonymi, starymi budkami. Raptownie się zatrzymał, przez co dziewczyna niemalże straciła równowagę. Chwycił za karabin.

– Co... się... dzieje...? – zapytała między urywanymi oddechami.